

Rzecz o Józefie Pileckim (1903–1985)

Izydor – człowiek z krwi i kości

Pisać o swoich najbliższych nie jest łatwo. A szczególnie, gdy chodzi o własnego ojca. Przyzwoitość wydaje się nakazywać, by lepiej tego w ogóle nie robić. Po co przywoływać duchy tych, którzy odeszli, skoro nie zapisali się w pamięci następnych pokoleń, nie pozostawili żadnego trwałego śladu? Budowanie pomników własnym przodkom postrzegam jako chęć zwrócenia uwagi na samych siebie. Im więcej brązu włożymy w stawiany posąg, w tym lepszym świetle widzimy własne ego. Malowanie portretów lukrem pozostawiam też amatorom słodkości. Zastanawiam się jednak od pewnego czasu, a co, gdyby zbudować pomnik z założenia wcale niepiękny, ale prawdziwy, choćby i do bólu. Jednak odpowiedź wydaje się oczywista: nie zostanie to dobrze przyjęte. A nie jest miło słyszeć, że robi się coś niewłaściwego, czy wręcz bezecnego. Dlatego też myślałam, że jeżeli przywołam pamięć Ojca, to dopiero wtedy, gdy będę już spakowany i usłyszę, że mój pociąg

nadjeżdża. Wsiąść do pociągu, zamknąć za sobą drzwi i oddalić się po angielsku, nie słuchając biadolenia i pouczeń. Jednak przyszedł rok 2020 i całkowicie zmienił perspektywę. Okazało się, że pociągi odjeżdżające w nieznanym gwałtownie przyspieszeniu i może zwyczajnie zabraknąć czasu, by napisać coś przed zatrzaśnięciem drzwi. Stąd właśnie ten tekst.

„Carskie czasy”

Był rok 1903, gdy w rodzinie mieszkających w Trokach Józefa i Doroty¹ (Dari, Debory) Pileckich przyszło na świat czwarte dziecko. Okazał się nim syn, któremu dano biblijne imię Izaak. Wprawdzie później, pragnąc uniknąć niesłusznych skojarzeń, zmienił imię metrykalne na Józef, to jednak przez całe dorosłe życie karaimscy znajomi i przyjaciele nazywali go Izydorem.

Ojciec Izydora, Józef, pochodził z gałęzi rodu Pileckich zwanej powszechnie „wilczukami”, którzy w XIX w. przenieśli się do Trok z Nowego Miasta (lit. Naujamiestis). To leżące w okolicach Poniewieża miasteczko było w przeszłości znaczącym ośrodkiem życia społecznego i kulturalnego litewskich Karaimów. Matka Izydora, Dorota z Maleckich, wywodziła się z rodów osiadłych w Trokach od dawna, być może od początku karaimskiego osadnictwa w tym mieście. Rodzina Józefa mieszkała w domu, który Dorota odziedziczyła po Kobeckich, rodzicach swojej matki, Batszewy. Dom ten, ładnie odnowiony, stoi do dzisiaj przy ulicy Karaimskiej (dziś Karaimų 40).

Józef Pilecki był człowiekiem porywczym i nieokrzyszonym. Miejscowy poeta, ułtu hazardzian Szymon Firkowicz, charakteryzując w jednym ze swoich utworów² kolejnych mieszkańców „Karaimszczyzny”, napisał o nim: „Był zabijaką i narwanem, młotkiem bijął ludzi” (tłum. z ros. aut.). Ten młotek to narzędzie pracy ojca Izydora, który na życie rodziny zarabiał kując konie we własnej kuźni. Potem, gdy

Rodzice Izydora:
Józef Pilecki
(1866–1926)
i Dorota z Maleckich
(1875–1909?).



Fot. archiwum autora

*Czy ten ptak kłał gniazdo, co je
kłał,
Czy ten, co mówić o tym nie
pozwala?*

Cyprian Kamil Norwid

owdowiał, zaczął też zbyt często zaglądać do kieliszka. W Trokach mówiono, że Josif (przez polską ludność nazywany „Jasiem”), każdego dnia jest trzeźwy do momentu otrzymania zapłaty za pierwszego podkutego konia. Potem można go było spotkać tylko w karczmie.

Dochody z kuźni były niezadowolające, a dzieci ciągle przybywało. Po narodzinach szóstego z nich, Elżbiety (Elizawie), zdecydowano się oddać dziewczynkę na wychowanie do krewnych mieszkających w Moskwie. Tam też Liza spędziła całe swoje życie, będąc świadkiem rewolucji, dwóch wojen światowych i pieriestrojki. Jednak prawdziwa tragedia nastąpiła po pojawieniu się kolejnej, siódmej już, ciąży. Ulegając presji swoich ciotek, brzemienna Dorota, nie informując męża o swym stanie, zdecydowała się poddać aborcji. Zabiegu dokonano potajemnie w Wilnie, prawdopodobnie w nie najlepszych warunkach. Bezpośrednio po tym kobietę wieziono przez kilka godzin saniami do Trok, na silnym mrozie. Niestety, zakończyło się to chorobą i rychłą śmiercią.

Izydor-rozrabiaka

Został ojciec z pięciorgiem sierot. Dwójka najstarszych, Szymon i Józef, była już na tyle ukształtowana przez kochającą i bardzo troskliwą matkę, że nie stwarzała żadnych problemów wychowawczych. Chłopcy pokończyli szkołę, podjęli pracę. Z młodszej trójki największe problemy zaczął stwarzać Izaak-Izydor (pozostała dwójka to starsza od Izydora Nadzieja i młodszy Azariasz-Edward). Okazał się chłopcem niezwykle krnąbrnym, prawdziwym „wilczukiem”. W momencie utraty matki miał około czterech, pięciu lat. Wrażliwe, otaczane do tej pory miłością dziecko zamknęło się w sobie. Nie zaakceptowało macochy, która pojawiła się w domu. Szkoła nie była miejscem, jakie chłopiec traktowałby ze szczególną uwagą. Dwie pierwsze klasy powszechniaka ukończył, trzeciej, zdaje się, już nie. Opierał się



Fot. archiwum autora

Młody Izydor. Niestety, nie zachowały się żadne jego zdjęcia z czasów dzieciństwa. Można wątpić, by mu je wtedy w ogóle robiono.

też przed obowiązkiem pracy w kuźni. Jednak nie zawsze skutecznie. Przepracowane ciężko godziny przy kowadlu dały dwa efekty: osłabione płuca i bardzo silne ręce. Te ostatnie stały się zresztą jednym z jego życiowych atutów.

Mały Izydor zaczął się coraz bardziej uniezależniać, wiodąc żywot bezprizornika. Z nastaniem pierwszych ciepłych dni wiosennych opuszczał dom rodzinny, by powrócić dopiero późną jesienią. Żywił się głównie owocami szabrowanymi w okolicznych sadach. Czasem któreś z ciotek udawało się zwabić go do domu i ugościć talerzem ciepłej stawy. Nie był postrzegany jako zły chłopiec. Jednak osoby, z którymi miał na pieńku, potrafił terroryzować. Jednym z popisowych numerów, którym często odpłacał za rzeczywiste bądź urojone krzywdy, było wejście na dach domu nielubianej osoby i załatwienie swojej fizjologicznej potrzeby wprost do komina. Gdy jako mocno dojrzały mężczyzna wspominał te swoje wybryki, robił to z łobuzerską miną i nieskrywaną satysfakcją.

Dał się też poznać z innej strony, może nie aż tak nagannej. Gdy zdarzało mu się jeszcze



Fot. archiwum autora

Naukę w szkole Izidor przerwał po drugiej klasie, ale później zdołał ją eksternistycznie dokończyć dzięki pomocy karaimskiego kolegi, Elka, którego los również zawiódł po wojnie na Wybrzeże.

chodzić do szkoły, starszy brat, gimnazjalista Józef, usiłował zainteresować go matematyką, czy – jak wtedy mówiono – rachunkami. Zadeklarował, że za każde rozwiązane poprawnie zadanie zapłaci młodszemu bratu kopiejkę. I tu się przeliczył. Na jego nieszczęście na „Karaimszczyźnie” mały sklepik prowadziła niejaka Ickowa. W tym sklepiku były słodkie placki, po pół kopiejki za sztukę, które mały łobuz uwielbiał. No i Józef szybko się zorientował, że jego skromny, czerpany z korepetycji, budżet nie udźwignie tego zobowiązania – w tak dużym tempie Izidor rozwiązywał nawet te trudniejsze zadania. Pół wieku później, już nie placki, lecz nie mniej słodką satysfakcję czerpał Izidor ze swojej intelektualnej sprawności. Wyszukiwał w moich podręcznikach co trudniejsze zadania, te z gwiazdką, rozwiązywał je, po czym dawał do rozwiązania swoim utytułowanym kolegom. Czasy były takie, że starsze pokolenie miało okazję zdobywania tytułów inżynierskich wieczorowo, eksternistycznie czy jakimś tam innym sposobem. Byli to ludzie zazwyczaj o sporej wiedzy praktycznej, lecz bez solidnych podstaw. No i wykładali się na tych trudniejszych zadaniach ze szkoły podstawowej. Kończyło się to zwykle konstatacją: „No co, ja po dwóch klasach szkoły powszechnej rozwiązałem, a ty, inżynier... Może spróbujesz to zrobić tymi waszymi «iksami»?”.

Młody wojak

W wieku lat 16 Izidor wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego. Był to właśnie czas wojny polsko-bolszewickiej. Wiele prochu nie powąchał, bo z uwagi na swój wiek traktowany był ulgowo. Służbę pełnił głównie w kuchni polowej. Ale przemierzył z wojskiem kawał kraju, zdaje się, że aż do Nowego Sącza, gdzie został zdemobilizowany. Z tej wojennej przygody wyniósł dwie rzeczy: wielki szacunek dla marszałka Piłsudskiego oraz srebrny sygnet, jaki w tych czasach żołnierze zamawiali sobie na pamiątkę. Przy tym nie od rzeczy jest wspomnieć, że wśród wielu zasług Piłsudskiego, największe uznanie budził u Izidora fakt, że Marszałek swoich adiutantów „rugał i bił po mordzie”. Bo też ten sposób rozwiązywania problemów uważał Izidor za najwłaściwszy i stosował go ochoczo, choć nie bez potrzeby. Po latach, gdy został ojcem, nie zadawał sobie trudu przekazania synowi jakichś umiejętności. Ale był jeden wyjątek. Jako pięcioletni maluch byłem uczony, jak uderzyć oponenta, by po upadku nie kwapił się do wstawiania. Ułożenie ręki, układ ciała, praca nóg...

Zapamiętałem to dobrze, choć nigdy w praktyce nie wykorzystałem, sprawiając Mu tym z pewnością duży zawód.

Międzywojnie i okupacja

Przyszła pora na nowe otwarcie. Carskie czasy odeszły do przeszłości, a wraz z nimi i szczeniące lata Izydora. Jego dorosłe życie kształtowało się równoległe z rozwojem II RP. Wygląda na to, że w okolicznościach tych poczuł się jak ryba w wodzie. To, że z językiem polskim nie miał problemu, jest oczywiste. Mowa polska, oprócz karaimskiej i rosyjskiej, była w jego środowisku stale obecna. Zastanawia jednak jej czystość, którą dobrze zapamiętałem. Zapewne nie nastąpiło to od razu, jednak po kolejnej wojnie, gdy mieszkał już w Gdańsku, mówił bez jakiegokolwiek kresowego zaśpiewu, czym odróżniał się od swoich pobratymców. Natomiast do języka rosyjskiego z wielką chęcią sięgał zawsze wtedy, gdy pragnął wypowiedzieć się ze szczególnie dużą ekspresją. Nie powinno to jednak dziwić, bo chyba żaden inny język nie daje tak wielu możliwości w tym zakresie. I z możliwości tych korzystał w sposób arcy mistrzowski... Do końca życia też liczył wyłącznie po rosyjsku.

Ukończone dwie klasy to za mało, by nawet przy dużej inteligencji wrodzonej i niezłej ogładzie wieść żywot dojrzałego człowieka. Izidor postanowił przystąpić do egzaminu eksternistycznego kończącego szkołę powszechną. I tu zaoferował mu pomoc pewien karaimski chłopiec³, będący celującym uczniem jednego z wileńskich gimnazjów. Rozpoczęto regularne korepetycje. Gdy zaciekawieni znajomi zaczęli dopytywać, czy taka sztubacka pomoc jest rzeczywiście przydatna, usłyszeli w odpowiedzi: „Ależ tak, Elek to urodzony *pedagog*”. Oficjalny egzamin zakończył się sukcesem, a uczynny młody człowiek do końca życia w środowisku karaimskim nazywany był *Pedagogiem*.

Indywidualizm, wrodzona niesubordynacja i imperatyw wolności nie pozwalały Izidorowi na podejmowanie stałego zatrudnienia. Jeżeli były tu jakieś próby, to musiały mieć charakter epizodyczny. Wiadomo natomiast, że współpracował z „Dwójką”, czyli zajmującym się wywiadem i kontrwywiadem II Wydziałem Sztabu Generalnego WP.⁴ W pracy tej posługiwał się pseudonimem „Kajtek”. Do prowadzenia działalności wywiadowczej predysponowały Izidora zapewne takie cechy, jak spryt, połączona z brawurą łatwość podejmowania ryzyka oraz nadzwyczajna pamięć wzrokowa. Wymienione tu wrodzone cechy stwarzały

także możliwości w innej sferze życia, która stała się namiętnością, odciskającą piętno na całej jego przyszłości. Mowa tu o hazardzie, a szczególnie hazardowej grze w karty.

W 1928 roku Izydor ożenił się po raz pierwszy. Wybranką była Nadzieja, córka trocko-wileńskiego adwokata, Izaaka Michajłowicza. Zamieszkali w Wilnie. W roku 1935 urodził się im syn Jerzy, który przeżył zaledwie trzy lata. W 1940 roku zmarła również żona, Nadzieja. Poza kilkoma fotografiami z tego okresu, o wspomnianych wydarzeniach żadna pamięć w rodzinie Pileckich nie przetrwała. Wiadomo, że Izydor aniołem nie był. Mógł też nie być przykładnym mężem i ojcem. Jednak warto zaznaczyć, że po śmierci Nadziei jego stosunki z rodziną Michajłowiczów były poprawne, a wręcz ciepłe. Dobrze pamiętam wizytę Izydora u mecenasa Michajłowicza w Trokach, której w 1956 r. byłem świadkiem. Po założeniu nowej rodziny, już w Gdańsku, gośćmi Izydora i jego drugiej żony bywali brat i siostry nieboszczki, często z rodzinami – raz były to nawet kilkutygodniowe wycieczki nad morzem.

Podczas sowieckiej okupacji Wileńszczyzny Izydor znalazł zatrudnienie w komisji rekrutującej miejscową ludność do Armii Czerwonej. I tu odezwała się w nim żyłka hazardzisty. Ryzykując głową, dopuszczał się przekrętów prowadzących do zwalniania z obowiązków służby, w zamian za co otrzymywał wymierne korzyści materialne. Stawką była jedna krowa za każdego zwolnionego z poboru chłopskiego syna. Obie strony były zadowolone. Krążyły żarty, że spotkany chłop, prowadzący do miasta na postronku krowę, wyjaśniał zaciekawionym ludziom, iż właśnie odbywa się pobór, którym zagrożony jest jego jedyny syn. Faktem bezspornym zaś jest, że zwolnionych z wojska było wielu, co odpowiadało też znacznej liczbie krów, zamienianych sprawnie na tzw. złotniaki (carskie złote monety dziesięciorublowe) lub inne precjoza. Ale jak w pokerze, tak i tutaj – przyszedł czas, gdy powiedziano „sprawdzam” i grunt zaczął się Izydorowi palić pod nogami. Udało mu się jednak zachować czujność i w krytycznym momencie opuścić Związek Radziecki, wjeżdżając na terytorium Polski w jej nowych granicach. Jako towarzyszkę zabrał ze sobą niespełnioną miłość lat młodości, nie przejmując się wcale tym, że była ona wówczas żoną innego mężczyzny.

Czasy PRL

Jesienią 1945 roku Izydor w towarzystwie Natalii z Poziemskich⁵ dotarł do Gdańska. Para

Fot. archiwum autora



Pierwszą żoną Izydora była Nadzieja, córka wileńskiego adwokata, Izaaka Michajłowicza. W 1940 r. został wdowcem.

zatrzymała się we wrzeszczańskim poniemieckim mieszkaniu, w którym przebywał jeden z wileńskich Karaimów, „trzymający” to lokum dla innego rodaka. Trzymał widać niezbyt mocno, bo biorąc zegarek jako „odstępne”, przekazał nieruchomość Izydorowi i opuścił Gdańsk. Po przeprowadzeniu formalności rozwodowych Natalii, para zawarła związek małżeński i zakotwiczyła w tym mieszkaniu na

Izydor z Jerzym (1935–1938), synem z pierwszego małżeństwa oraz niezidentyfikowanym chłopcem. Wilno (?), ok. 1937 r.

Fot. archiwum autora



Izydor trzymający na słynących z siły rękach (praca w kuźni zrobiła swojej!) młodszego syna, Konstantego. Rejs po Zatoce Gdańskiej, ok. 1949 r.



Fot. archiwum autora

stałe. Choć pierwotnie miało być inaczej. Podobnie jak wiele innych rodzin przybyłych do Gdańska z ziem utraconych, Izydor i Natalia złożyli w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym dokumenty poświadczające pozostawienie mienia „za Bugiem”. Postępowanie wyglądało w ten sposób, że wskazywało się wybrany dom jednorodzinny, jeszcze zamieszkały przez prawowitych, z reguły niemieckich, właścicieli i dopiero po ich wysiedleniu uzyskiwało się prawo zamieszkania, a potem chyba i własności. Wskazany został domek przy ulicy Polanki. Czas mijał, było wiele innych ważnych spraw na głowie, nikt nie trzymał ręki na pulsie. Gdy przypomniano sobie o tym, okazało się, że w PUR zaginęły dokumenty. Sprawy nie dało się naprawić, szczególnie że nikt już nie pamiętał, który z domów był wskazany – są one dość podobne. Szkoda, bo mógłby to być już drugi dom karaimski przy tej uroczej oliwskiej ulicy.⁶

Bardzo szybko przekonano się, czym jest PRL. Nie był to kraj, z którym Izydor chciałby wiązać przyszłość swojej rodziny. Nienawiść do komunizmu, przeniesiona teraz na niby polskie władze oraz świadomość tego, jakie warunki na przyszłość wróży ten system, skłoniły Izydora do poważnych planów przeniesienia się na Zachód. Legalnie było to niemożliwe. Wyrwanie się z baraku, jaki w tym miejscu

Europy zbudowali mieszkańcy Kremla, stanowiło cel również innych. Wraz z kilkorgiem znajomych Izydor podjął plan ucieczki na Bornholm. Zamierzano zmusić pilota samolotu startującego z Gdańska do Warszawy, by zmienił kurs na duńską wyspę. Gdy przedsięwzięcie nabierało już realnych kształtów, będąca w zaawansowanej ciąży żona odmówiła udziału w tej ryzykownej eskapadzie. Izydor musiał zrezygnować. Gdyby nie to, autor tych słów urodziłby się zapewne w Danii.

Dotąd opisane losy Izydora znane są autorowi ze słyszenia. Tego, co nastąpiło potem, jest już naocznym świadkiem. W powojennej części przedstawianej biografii można wyróżnić dwie fazy. Pierwsza to dynamizm, energia i podbijanie świata, druga – uspokojenie, wyciszenie, złożenie broni. Jest to oczywiście w znacznym stopniu uwarunkowane naturalnym cyklem biologicznym, ale nie wyłącznie. Czynniki zewnętrzne są też nie bez znaczenia.

Prywatna inicjatywa

Na początku było szaleństwo hazardu oraz przedsięwzięcia biznesowe. Jednemu i drugiemu towarzyszyło napięcie nerwów do granic możliwości. Hazard – ze względów oczywistych, biznes – z uwagi na ustrój, w którym przyszło żyć. Na początku lat pięćdziesiątych w Mikołajkach (Mazury) budowano most, który do dzisiaj stanowi charakterystyczny element tamtego krajobrazu oraz ważną część infrastruktury komunikacyjnej. Izydorowi udało się uzyskać koncesję na transport materiałów budowlanych. Zakupione zostały furmanki i konie, zatrudniono woźniców. Z dzisiejszego punktu widzenia to bardzo skromny biznes, ale w czasach wczesnego PRL taka „prywatna inicjatywa” była rzadkością, postrzegana jako igranie z ogniem. Musiała jednak przynieść całkiem pokaźny dochód.

Drugie przedsięwzięcie było już na zdecydowanie większą skalę. Chodzi o fermę nerek. Założona została w Żąbkach pod Warszawą, na posesji znajomego. Stale rozwijana, osiągnęła znaczne rozmiary. Spektakularnym wydarzeniem było tutaj sprowadzenie partii tych zwierząt z ZSRR. Wędrując w Moskwie od ministerstwa do ministerstwa, udało się Izydorowi, cudzoziemcowi, załatwić zezwolenie na zakup pewnej ilości nerek, wywóz ich za granicę i jeszcze transport lotniczy. Nikomu nie chciało się wierzyć, że to możliwe. A jednak norki przyleciały, choć nie wszystkie przeżyły tę podróż. Pod względem ekonomicznym nie był to specjalny sukces, choć zwierzęta były

kupione za bezcen. Ale za to wizerunkowo... Szczególnie że były to odmiany nerek w Polsce dotąd rzadko widywane, białe i tzw. pastele.

W Ząbkach rozwijała się hodowla, zaś w Gdańsku Izidor grał w karty lub odsypiał zarwane noce. Aż idylla się skończyła. Gruchnęła wieść, że Cyrankiewicz, odwieczny premier PRL, likwiduje swoją ogromną hodowlę lisów. Stało się jasne, że idą zmiany i trzeba się szybko zwijać. I tu, niestety, Izidora zawiódł zmysł hazardzisty. Z likwidacją fermy postanowił odczekać do zakończenia cyklu rozrodczego. Liczył, że zdąży i że po spieniężeniu fermy uzyska okrągły milion złotych (średnie wynagrodzenie miesięczne wynosiło wtedy około półtora tysiąca). Przegrał! Weszły nowe podatki, wprowadzono jakieś zakazy i nakazy... Ludzie w popłochu likwidowali fermy, bito młode zwierzęta mające praktycznie bezwartościowe futra. W dodatku dogładający hodowli pracownik, któremu nikt nie patrzył na ręce, dopuścił się wielu oszustw. Z oczekiwanego miliona udało się odzyskać jakieś strzępy.

To był moment przełomowy, po którym zaczął się schyłek. Następną próbą była kontrabanda przez granicę polsko-radziecką. Do Trok zostały przeszmuglowane złotniki. Ktoś powie: jak to, drwa do lasu nosić? Ale to nie były zwykłe złotniki, lecz fałszywe. Jednak fałszywe tylko trochę. Mowa tu o monetach złotych, choć niższej próby i bitych nie u carów, lecz w Belgii. Chodziło o wymianę tych monet na brylanty, które miały wrócić do Polski. Rekonesans w Moskwie i Leningradzie wykazał, że to nie jest akurat najlepszy moment dla takiej transakcji. Dlatego też Izidor zostawił monety ukryte w domu siostry w Trokach i wrócił do domu. Pech chciał, że siostra postanowiła odmalować mieszkanie. Malarze pracowali niespiesznie, ale remont się posuwał. Do chwili, gdy rozeszła się wieść, że za wódkę robotnicy płacą czystym złotem. Wszystko zostało rozkradzione.

Tu wtrąćmy pewną dygresję. Izidor znakomicie znał się na kamieniach szlachetnych. Przez jego dom przewinęło się mnóstwo osób, które zamierzały kupić lub sprzedać biżuterię. Oceniał kosztowności bezbłędnie. Robił to bezinteresownie, chyba dla samej przyjemności obcowania z nierzadko bardzo pięknymi przedmiotami. Na początku niedowiarkowie próbowali weryfikować jego ekspertyzy u zawodowych jubilerów, płacąc za to słono. Nigdy nie było rozbieżności.

Kolejnym i ostatnim już przedsięwzięciem Izidora o znaczącym wymiarze finansowym była inwestycja w zakłady stolarskie. Niestety,

trafił na oszustów. Wprawdzie ostatecznie właściciele stolarni wylądowali za kratkami, ale włożonych w ten interes pieniędzy odzyskać się już nie dało.

Przy karcianym stoliku

Wszystkie opisane dotąd formy aktywności Izidora to jedynie margines tego, co działo się w jego życiu. Dominował hazard, w którym zdecydowaną przewagę miały gry karciane. Ruletka zdarzała się też, owszem, ale można ją traktować jak kwiatek do kożucha. Natomiast wyścigi konne (na już nieistniejącym pięknym przedwojennym torze w Sopocie) pozostawały domeną innego gdańskiego Karaima...

To było szaleństwo. Gra w karty rzutowała na życie całej rodziny. Kolejne sukcesy i porażki wyczerpywały emocjonalnie wszystkich domowników. A grano o niebanalne stawki. W ciągu jednej kilkudziesięciogodzinnej sesji Izidor potrafił przegrać równowartość rocznego wynagrodzenia inżyniera. Takie też bywały wygrane. Początkowo, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, bilans tych wahań był raczej dla Izidora korzystny. Później fortuna zaczęła się odwracać. Z wiekiem słabł refleks, zaczęło też brakować zimnej krwi. Prawdopodobnie rosły także „kompetencje” rywali.

Pod koniec lat pięćdziesiątych żonie udało się ubłagać Izidora i zaprzestano gry w jego domu. Już nie pojawiały się liczne grupy rozpalonych emocjami karciarzy. Najwyżej zdarzały się pojedynki jeden na jednego, które nie sprawiały już tyle kłopotów. A towarzystwo to było niezwykle męczące, choć ciekawe. Cały

Zapalony hazardzista, Izidor nie stronił od ryzykownych interesów. Gdy szły dobrze, mógł sobie pozwolić nie tylko na eleganckie garnitury z angielskiej wełny...

Fot. archiwum autora



przekrój społeczny i wiekowy. Zdarzali się tam chłopi, którzy szukali szans w mieście. Był zdeklasowany ziemianin, o nienagannych manierach, zawsze czysty i pachnący, elegancko ubrany. Był i opiekę zawdzięczał niejkiej Hance, podstarzałej i zniszczonej dawnej sopockiej prostytutce, zapatrzonej w niego jak w obrazek. Był absolwent ASP, nazywany Plastusiem, który na przyjemność gry w karty i przebywania w męskim gronie zarabiał malując mieszkania. Był Fred, o którym wiadomo, że chodził na mokrą robotę – zawsze w wysokich filcowych butach, bo za cholewą chował nóż. Pojawiał się także dystyngowany pan, który szczyił się świetną posadą szatniarza w restauracji „Lotos” (szatniarz w lokalu, który organizował dancingi, zarabiał krocie). Ten szatniarz nosił z godnością nazwisko Zamoy-ski, a jego prezencja i sposób bycia nie budziły podejrzeń, że może być falsyfikatem. Bywał zażyły przedwojenny gdańszczanin, jak też zdegenerowany szlachciura spod Nowej Wilejki, o aparycji tak strasznej, że powszechnie zwano go Małpoludem. Jak meteor pojawiał się czasem Wańka, pierwszy amant dolnego, a może i całego Wrzeszcza, który rozbijał się pięknymi samochodami, wyłącznie francuskimi. Pewnego dnia tenże Wańka zniknął z ulic Gdańska, by niebawem pojawić się na stronach gazet jako właśnie ujęty gangster. Stawkę figur, które przesuwają mi się w pamięci, zamyka niezwykle tęgi schłopiały szaraczek z okolic Lidy, którego twarz doskonale imitowała porządnie wypaloną cegłę.

Rozwiązania siłowe

W takim towarzystwie Izidor czuł się jak ryba w wodzie. I to ryba drapieżna, bo inna by tam nie przetrwała. Jedynie o ukochanym Hanki mówiono z podziwem, choć i niedowierzaniem, że zawsze gra czysto. Lecz bez przesady, nie byli to sami szulerzy, bo za szulera uznawano tylko takiego gracza, którego niedostatek sprytu i zreczności naraża na złapanie za rękę. Kłęby dymu papierosowego, litry kawy (zwykle z cytryną) i mniej lub bardziej umiarkowane porcje alkoholu tworzyły istne pole minowe. Do scysji i awantur dochodziło bardzo często. Dość filigranowy Izidor musiał w takich warunkach stawiać na szybkość, bezkompromisowość i gwałtowność. Jeden z takich incydentów (naocznym świadkiem szczęśliwie nie byłem) zapamiętałem szczególnie dobrze, bo przywoływał go z wielkim niepokojem Bora⁷, karaimski przyjaciel Izidora, młodszy kolega z drugiej strony ulicy w Trokach. Rzecz roze-

grała się właśnie w mieszkaniu Bory. Gdy doszło, na tle karcianym, do nieporozumienia między Izidorem a innym z graczy, ten pierwszy zdecydował się na ruch wyprzedzający i butelką zaatakował oponenta w sposób na tyle gwałtowny, że ściany i sufit (około czterech metrów wysokości) musiały być przemalowane. Tłumaczył potem, że zachowanie wcale nie było przesadne, bo przewidywał, iż przeciwnik sięgnie po nóż. Towarzystwo miało jeszcze na tyle przytomności umysłu, że nikt nie wezwał pogotowia ani milicji – przecież wszyscy wylądowałiby w pace.

O tym, na co stać Izidora, wiedzieli wszyscy jeszcze z trocko-wileńskich czasów. Ale opisane wydarzenie odświeżyło pamięć, szczególnie Bory. Było dobrze wiadomo, jak bardzo Izidor ceni sobie przyjaźnię, że nikogo ze swoich by nie skrzywdził, a przeciwnie, zawsze jest gotów stanąć w obronie swojego kompana. Tym niemniej czujność i niepokój wzrosły. Na dowód tego przywołam wydarzenie, które pamiętam tak dokładnie, jakby miało miejsce wczoraj.

Izidor, gdy był w domu, niezależnie od pory dnia czy nocy, zwykle spał. Regenerował siły po karcianych maratonach. Wszystkim wbił do głowy, że nie wolno go budzić, bo nagle przebudzony nie panuje nad sobą i może każdego, kto jest pod ręką, zabić. Było to więc tak:

Dzwonek do drzwi. Otwieram, stoi pan Bora.

– Jest Izidor?

– Tak, ale śpi.

– Oj... Długo już śpi?

– No... jakieś sześć godzin.

– A, to pewnie zaraz się obudzi, poczekam.

Pan Bora wchodzi, staje kilka kroków przed tapczanem ze śpiącym i czeka. Nie śmie się odezwać, ale zaczyna się niecierpliwic, lekko się porusza, zakłócając absolutną ciszę. Wreszcie Izidor otwiera oczy:

– O, Borka, cześć. Co jest?

– Izidor, pożycz dwieście złotych?

– Co, znowu się zgrałeś?

– Wiesz, karta dobrze szła, dostałem strita i wtedy...

– Dobra. Matka, przynieś dwieście złotych! Masz, idź, odegraj się.

Rozwiązania siłowe stosowane było nie tylko w sprawach „służbowych” (czytaj: karcianych), ale również w życiu prywatnym. We wczesnym PRL istniała praktyka dokwaterowywania ludziom do mieszkania obcych osób. W mieszkaniu Izidora i Natalii pojawiła się sublokatorka, Łaćka. Jakoś ją tolerowano. Czasy były trudne, ludzie nie mieli wielkich wymagań, rozumiano potrzeby innych. No i władza trzy-

mała pejcz nad ludem pracującym miast i wsi. A co tu dopiero mówić o takiej prywatnej inicjatywie. Względny spokój trwałby jeszcze długo, gdyby Łańka nie zapragnęła zakwaterować w swoim pokoju jeszcze gacha. Tego było za wiele. Należało rozwiązać problem radykalnie. Doszło do wymiany – wcale nie zdań – między Izydorem (ok. 162 cm, 64 kg) a niechciany lokatorem (ok. 190 cm, 110 kg). Jako argumentów Izydor użył sprężyny od ekspandora i mosiężnego pręta, będącego elementem dziecięcego łóżka. Poturbowany intruz musiał dać tyły, kuśtykając ze skargą na posterunek milicji. Szczęściem dla obu panów było to, że wystarczyły wymienione argumenty. W ostateczności mogła bowiem zostać użyta siekiera, zawczasu przygotowana i ustawiona w miejscu zaplanowanej potyczki.

Skończyło się 48-godzinnym aresztem (ta niedogodność pojawiła się nie po raz pierwszy i nie ostatni). Czas odsiadki urozmaicały zatrzymanemu kolejne wizyty funkcjonariuszy, którzy chcieli zobaczyć kozaka, jakiemu uległo to byczysko. Izydor uwielbiał takie sytuacje, więc opuszczając posterunek, odegrał komedię w stylu Haśka, którego z całą pewnością nie czytał. Wymaszerował mianowicie krokiem defiladowym, trzymając w uniesionej ręce sprężynę, a na ramieniu pręt. Finał był taki, że sublokatorka chyłkiem opuściła zajmowany pokój na zawsze i wreszcie mieszkanie stało się samodzielne.

Podobnych wydarzeń było więcej. Po raz ostatni rozwiązanie siłowe wybrał Izydor w wieku ponad siedemdziesięciu lat. Do drzwi zapukał okoliczny – niewiele młodszy – pijaczek, prosząc o pożyczanie pięćdziesięciu złotych. „Na wódkę nie dam” – odpowiedział naga-bywany i zatrasnął drzwi. Po jakimś czasie znowu pukanie i ta sama prośba. Izydor powtórzył odmowę dodając, że następnym razem da „w mordę”. Nadszedł następny raz, zgodnie z obietnicą został wyprowadzony cios i... o dziwo, pijaczyna ustał. Z niedowierzaniem Izydor pojął, że ma już swoje lata, a więc brak dawnej siły, a szczególnie już nie ten timing. „Chłopcy” szczepili się ze sobą i rozpoczęli walkę w pełnym kontakcie. Wtedy właśnie wracałem do domu i usłyszałem na schodach łomot. Staczali się po nich, zwarci ze sobą, a dwaj sąsiedzi, którzy wybiegli z mieszkań, starali się rozdzielić zawodników. „Panie Józefie, panie Józefie, niech pan odpuści” – wołał sąsiad z pierwszego pietra (w środowisku niekaraimskim do Izydora zwracano się imieniem Józef lub zdrobniale Józio).

Fot. archiwum autora



Izydor z synem Konstantym, już nastolatkiem, podczas obchodów rocznicy bitwy grunwaldzkiej. Pola Grunwaldu, 1960 r.

Nie walka, lecz akt rozpacz miał miejsce na kilka miesięcy przed śmiercią Izydora. Leżał w łóżku, w ostatnim stadium raka płuc. Był tak słaby, że z trudem dochodził do łazienki. Żona była poza domem, drzwi do mieszkania otwarte. Weszły dwie kobiety podające się za pracownice opieki społecznej. Gdy jedna zaczęła przeprowadzać pozorowany wywiad, druga krzątała się po mieszkaniu. W pewnym momencie stało się jasne, że to złodziejki. Izydorowi udało się zerwać z łóżka i wyszarpnąć kobiecie część biżuterii, którą ta już miała w rękach. Z resztą łupu kobiety w popłochu zbiegły. Nie udało się ich odszukać.

Porzućmy ten minorowy nastrój i zmieńmy temat. Izydor był bardzo przyjacielski i powszechnie lubiany. Wiedzano, że można na niego liczyć. Chętnie pomagał, udzielał rad, o które się do niego często zwracano. Za przyjaciół z karaimskiej kompanii dałby się posiekać, byle tylko nie wchodzono mu w drogę. Lubił żarty, anegdoty, choć nie ma pewności, czy tolerowałby krytykę skierowaną przeciwko sobie. Po prostu nikt nawet nie próbował. Natomiast sam Izydor lubił dworować sobie z innych. Bez złośliwości, ale w oczekiwaniu

Izydor i Natalia chętnie przyjmowali gości. Przy stole w ich domu spotykano się nie tylko na karty, ale i dla karaimskich przysmaków, takich jak kybyny czy biok.



Fot. archiwum autora

poklasku od publiki. Za cel swoich wręcz błazeńskich popisów najczęściej wybierał jedną i tę samą osobę z kompanii. Był to człowiek sporo młodszy, bardzo pocziwy i przyzwoity, w dodatku wykazujący się dużą kulturą osobistą. Wobec takich zaczepek był całkowicie bezbronny. Ale reszta towarzystwa bawiła się przednio. My, dzieciarnia, uwielbiliśmy te błazenady. Sam, w miarę dorastania, czułem jednak coraz większe zażenowanie, a nawet niesmak. Dzisiaj, gdy prawie nikogo już z tej kompanii nie ma, pozwolę sobie przytoczyć jedno z zabawniejszych wydarzeń, które – mam nadzieję – nie rzuci na nikogo cienia. Zresztą cała sprawa pewnie nie była z góry zaplanowanym błazeństwem, lecz splot okoliczności nadał jej formę anegdotyczną. Wydarzenie opiszę w formie dialogu:

– Izydor, można zrobić dobry interes. Jesteś zainteresowany?

– Jeżeli dobry, to tak. O co chodzi?

– Jest opona do sprzedania.

– Opona, mówisz... Chciałbym ją zobaczyć.

– W porządku, jest u mnie.

– No nie, nie będę chodzić. Dawaj ją tu, do mnie.

– Ale to duża opona, jak ja mam ją przynieść?

– Przecież możesz potoczyć, to blisko.

– Izydor, ja, adwokat, mam toczyć po mieście oponę? Klienci mogą zobaczyć, co pomyślą?

– A, ty frajer! Zaczekaj do wieczora, jak się ściemni, to naciągnij głęboko kapelusz i przetocz. Nikt cię nie rozpozna.

– Tak mówisz? No dobrze.

Następnego dnia wieczorem: dzwonek do drzwi. Izydor, jak zwykle tylko w kalesonach, otwiera. Wita się z właścicielem opony (a może tylko pośrednikiem?).

– Cześć! Gdzie opona?

– Na dole.

– To dawaj ją tu...

– No dobrze...

Tap-tap-tap... Opona zostaje wtoczona na drugie piętro.

– No, prawdę mówiłeś, dobra opona, prawie nowa.

– Tak, pierwsza klasa. To co, bierzesz?

– A ile masz sztuk?

– Jak to, ile? Mam tę oponę.

– Tylko tę jedną?

– No tak...

– Czy ty ze mnie duraka robisz? Jedna opona? Jak będzie sto sztuk, to przychodź, zrobimy interes.

– To co, nic z tego...?

– Przecież powiedziałem. A teraz zabieraj ją stąd, k j... matier!

Tap-tap-tap...

Nikt się nie obrażał, kompania była zgrana i skora do zabawy. Izydor będąc bardzo gościnnym, razem z żoną radośnie przyjmował przyjaciół. Alkohole przygotowywał sam, natomiast wypieki (zwykle kybyny lub kiubetień, czasem biok) razem z żoną, przy czym na obsługę piekarnika miał wyłączność. Balowano do późnej nocy, a śpiewy niosły się po całej ulicy. Nikomu to wtedy nie przeszkadzało. O tym, że po żartach i uszczypliwościach nikt nie chował urazy, niech świadczy obrazek, który jeszcze po latach chętnie przywoływano: niekompletnie ubrany Izydor wystukuje na pianinie, dwoma palcami, jakiś rytm, a osławiony już handlarz oponą (był wtedy jeszcze kawalerem!) tańczy – „z figurami” – fokstrota z sublokatorką Łącką; reszta towarzystwa, zanosząc się śmiechem, bije brawo.⁸

Właśnie, dodajmy kilka słów na temat powierzchowności i ubioru Izydora. Był on zawsze szczupłym, raczej niskim (choć wtedy wzrost taki określano jako średni) ponoć ciemnym blondynem, lecz wszyscy zapamiętaliśmy go jako szpakowatego lub całkowicie siwego mężczyznę. Oczywiście miał szare, nos krótki i prosty. Te cechy z całą pewnością odziedziczył po

także „jasnej” matce. Jediną oznaką tego, że genotyp jego kształtował się gdzieś w Wielkim Stepie, były wydatne kości policzkowe. No i temperament – gdy zdał sobie sprawę, że nie-żle przeholował, zwykł był tłumaczyć: „No wie- cie, ja już jestem taki Azjata”.

Ze statusu „Azjaty” korzystał nieustannie. Terroryzował zarówno domowników, jak i oto- czenie. Gdy pewnego razu, głęboką nocą, oka- zało się, że chorej żonie potrzebny jest lekarz, siłą sforsował drzwi znanego gdańskiego inter- nisty i użył środków perswazji wystarczających na to, by starszy pan doktor się ubrał i potul- nie zszedł do taksówki.

Elegancki „Azjata”

Izydor lubił ubrać się elegancko, ale już nie zawsze elegancko się rozebrać – zdarzało mu się łądować w pościeli bez zdejmowania odzie- ży. Ponieważ było go stać, za pośrednictwem marynarzy sprowadzał z Zachodu dobre mar- kowe rzeczy. Kochał angielskie wełniane mate- riały, na których znał się wybornie. Garnitury szył u najlepszego gdańskiego krawca. Wszystko to jednak było używane rzadko, raczej od święta, a mole miały zapewniony luksusowy wikt (ta pelisa!). Na co dzień nosił się raczej jak abnegat, a w domu, ponieważ głównie spał, paradował zazwyczaj w stroju niewymownym. Na starość wszystko się odmieniło, bo i sytuacja materialna uległa zde- cydowanej zmianie, i także postawa życiowa, którą sam pewnie określiłby karcianym termi- nem pass.

Łącząc elegancję i karty, nie sposób tu pomi- nać historii brydżowych. W domu Izydora grano w tę grę chętnie i często. Oprócz domo- wników, w brydżowych wieczorkach uczestni- czyło grono nie-karaimskich znajomych. Grano bezinteresownie, na początku jeszcze zapisem polskim. Pan domu, który poziomem gry (szczególnie rozgrywki) niezaprzeczalnie górował nad resztą towarzystwa, chętnie odgrywał rolę mistrza, starającego się ewange- lizować partnerów. Przyjmowało to nieraz cha- rakter spotkań, jakie może starsi czytelnicy miesięcznika „Brydż” pamiętają z cyklu arty- kułów pt. „Brydż u pani Zuli”. Choć nie zawsze wyglądało to tak słodko. Gdy komuś zdarzyło się powtórzyć już raz popełniony błąd, z Izy- dora wychodził „Azjata”.

Było, że jeden z uczestników takich roberków zapragnął utrzcęć nosa „mistrzowi”. Powiedział, że zna dwóch studentów, znakomitych graczy z turniejowym stażem, którzy może zgodziliby się dołączyć do towarzystwa i zmierzyć

z panem domu. Propozycja została przyjęta ochoczo i z pewnym zaciekawieniem. Jako partnera Izydor wybrał sobie kompana z hazardowych ekscesów, Małpoluda. Osobnik ten naprawdę zasługiwał na swoje przezwisko. Gdy nie grał w karty, to sprzedawał jakieś badyle w tunelu przy wrzeszczańskiej stacji, budząc postrach wśród przechodniów. Natomiast jego znikanie na pewien czas zawsze świadczyło, że odsiaduje karę za rozbój. Miał jednak tę zaletę, że w przyzwoitym towa- rzystwie, szczególnie gdy były tam kobiety, przechodził całkowitą metamorfozę i potrafił zachowywać się niemal jak džentelmen. Udaowało mu się nawet uśmiechem łagodzić swoją koszmarną fizjonomię.

Przeciwnicy pojawili się o wyznaczonej porze. Jeżeli byli to studenci, to raczej z tych wiecz- nych, bo wiekiem zdawali się sięgać trzydziest- ki. Panowie usiedli do stolika. Izydor poinfor- mował, że w brydża w tym domu gra się bez pieniędzy. Ale studenci stanowczo zaoponowa- li. Sprawiali zresztą wrażenie osobników, któ- rzy dorabiają sobie grą w karty. W końcu zgo- dzono się na grę, jednak przy bardzo niskiej stawce. Panowie wyszli z pustymi sakiewkami. Po parze Izydor – Małpolud nie widać było bynajmniej satysfakcji z utarcia nosa rywalom.



Fot. archiwum autora

Narodziny wnuka, Błażeja, odmieniły Izydora. Ten powściągliwy w uczuciach mężczyzna stał się czułym i pobłażliwym dziadkiem.

Ocenili nawet, że chociaż spotkali się ze „szcze- niakami”, to gra przeciwko nim była całkiem interesująca.

U schyłku życia

Na kilka lat przed osiągnięciem wieku emery- talnego Izydor podjął pracę na państwowej posiadzie. Zatrudnił się w „Polcargu”, przedsię- biorstwie nadzorującym przeładunki w por- tach morskich. Przepisy emerytalne różniły się wówczas od obecnych. Wysokość świadczenia była ustalana na podstawie średnich docho- dów tylko z ostatnich kilku lat. Izydor konsek- wentnie dążąc do celu, jakim była choćby znośna emerytura, pracował sumiennie i bar- dzo dużo. Nie było mu lekko: praca w systemie 12/24 (dnie i noce), z dużą liczbą wypracowy- wanych nadgodzin, była bardzo uciążliwa. Ale zdrowie wtedy jeszcze dopisywało. Gdy podjął takie wyzwanie, realizował je konsekwentnie, bez narzekań, w bardzo pogodnym nastroju. Wprawdzie nie miał już możliwości ostrej gry w karty, ale też świadomość drastycznego obniżenia siły gry, jak również bardzo ograni- czone możliwości finansowych manewrów, gasiły takie apetyty. Zakończył pracę dokład- nie w momencie uzyskania wieku emerytalne- go. Aby mieć prawo do emerytury, należało jeszcze udokumentować przepracowane w ży- ciu lata. Krótkie epizody pracy państwowej zostały w jakiś cudowny sposób rozciągnięte, przedstawieni świadkowie wykazali się całkiem przyzwoitą pamięcią, warunek wysługi lat zos- tał spełniony. Dzięki temu otrzymana emery- tura pozwalała na może nie dostatecznie, ale jed- nak spokojne życie.

Siedemnaście lat spędzonych na emeryturze to powolny regres. Coraz gorsze zdrowie – do- kuczliwa zaćma, nieustannie słabnąca wydol- ność płuc – w sposób naturalny, choć powoli, zmniejszała apetyt na życie. W wieku 75 lat doczekał się wnuka. Zmieniło go to nie do poz- nania. Dopiero teraz zaczął okazywać swoje uczucia. To, na co pozwalał wnukowi, budziło niedowierzanie. U tego „Azjaty” tyle uczucia, tyle nieskrywanej troski...

A bo też stosunek Izydora do dzieci był szcze- gólny. Traktował je jak największe dobro. Wpisuje się to zresztą w tradycję karaimską, czy szerzej, w tradycję narodów Wschodu. Zachowując ortodoksyjną postawę wobec tra- dycji, był zagorzałym przeciwnikiem związków mieszanych. Gdy zaczęły się one pojawiać w kręgu rodzinnym (czuł się bez wątpienia jego przewodnikiem), z pełną determinacją odrzu- cał niekaraimskie żony swoich krewnych. Nie

miały one wstępu do jego domu. I stan taki utrzymywał się aż do momentu urodzenia dziecka. Pojawienie się potomka kruszyło wszystkie bariery, a jego matka uznawana była za członka rodziny. Wydarzyło się tak zarówno w przypadku młodszego brata Izydora, jak i bratanek. Jednak gdy przyszła kolej na włas- nego syna, zachował się odmiennie, nie zgła- szając żadnego sprzeciwu. Być może stało się tak dlatego, że był już w schyłkowym okresie życia. Może też znaczenie miały wnioski wyciągnięte z przeszłości. A najpewniej zawa- żyły tu oba te czynniki.

Poza wielką atencją, jaką obdarzał dzieci, okazywał również ogromny szacunek dla nauki. Nie posiadając sam wykształcenia, doceniał i podziwiał osiągnięcia innych. Jako dziecko stale słyszałem, jak z dużym uznaniem mówił o kolejnych stopniach i tytułach nauko- wych, zdobywanych przez znajomych i ich dzieci. I cieszyły go sukcesy nie tylko osób z najbliższego otoczenia. Gdy w latach sześć- dziesiątych po raz pierwszy zobaczył w telewizji profesora Włodzimierza Zona, wybitnego astro- noma, jednego z twórców warszawskiej szkoły astronomicznej, z radości aż podskoczył, bo rozpoznał w nim „studenciaka”, z którym u „Sztralla”⁹ w Wilnie grywał w bilard.

Z włączeniem telewizora w tych czasach wią- zało się stałe ryzyko natrafienia na przemówie- nie Gomułki¹⁰. Rozjuszalo to Izydora w najwyż- szym stopniu. Miotał wtedy kapciami w ekran, wykrzykując po rosyjsku co myśli o tym „kra- bie” i czego mu życzy. Takie właśnie, czyli zdal- ne, były jego kontakty z władzą ludową naj- wyższego szczebla. Natomiast z szeregowymi funkcjonariuszami teje miewał styczność czę- ściej, choć nie na gruncie politycznym. A jed- nak pewien incydent mógł zostać właśnie tak odebrany.

Było więc tak: W kamienicy, gdzie mieszkał Izydor z rodziną, prowadzono remont kapital- ny. Prace były dla lokatorów bardzo uciążliwe i przeciągały się nieznośnie, szczególnie ze względu na częste przestoje. Złość w Izydorze buzowała coraz bardziej. W końcu nie wytrzymał. W przeddzień święta 1 Maja zaplanował protest, do którego namówił również sąsiada z naprzeciwka. Kupili kawałek czarnego mate- riału i sklecieli z niego dwie chorągwie. Poranek świąteczny okazał się pogodny. Mieszkańcy Wrzeszcza dość licznie zmiierzali na uroczysto- ści państwowe. Każdy budynek przystrojony był biało-czerwonymi flagami. Jednak zdumie- ni przechodnie widzieli, że na drugim piętrze jednej z kamienic przy ulicy Grażyńny powiewa-

ją dwie żałobne chorągwie. Milicja pojawiła się bardzo szybko. Chorągwie na jej polecenie zdjęto, ale do protokołu trafiła informacja, że według sprawców zamieszania nie był to protest ideologiczny, lecz wyraz żałoby po dawnych dobrych czasach, gdy remonty prowadzono sprawnie. Represji żadnych nie było. Remont wkrótce zakończono, choć brak jest pewności, że stało się tak dzięki wydarzeniom z 1 Maja.

Około osiemdziesiątego roku życia wykryto u Izydora raka płuc. Przypadek nie kwalifikował się do operacji. Z życiem pożegnał się w wieku 82 lat. Spoczął na Cmentarzu Komunalnym w Sopocie. Grób znajduje się kilkadziesiąt kroków od miejsca pochówku najlepszych jego przyjaciół, z którymi spędzał dzieciństwo na ulicy Karaimskiej w Trokach.

Postscriptum

Wyrazić obiektywną opinię o człowieku jest niepodobna, zawsze będzie nacechowana emocjami. W moim odczuciu Izydor był w środowisku trójmiejskich Karaimów postacią zdecydowanie najbardziej wyrazistą. Jego pragmatyzm, siła charakteru i umiejętności były doceniane. Z prośbą o poradę lub wsparcie zgłaszało się zawsze do niego. Żartobliwie, ale bez sarkazmu, nazywano go gdańskim hachmem. Wokół niego zawsze było wiele szumu, bez względu na to, czy sobie tego życzył, czy nie. Chyba jednak lubił być w centrum uwagi. Posługując się dzisiejszymi kategoriami, powiedziałbym, że „Izydor” to była marka. Nie mnie oceniać jej wartość. Jednak żal by było, gdyby żaden ślad po niej nie pozostał.

Słowo od (nie)czułego narratora

Izydor to mój Ojciec. Wieczny sierota. Skorupa, którą obrósł w dzieciństwie była twarda. Nie umiał się z niej oswobodzić, nie pozwalał też sobie pomóc. Bardzo pragnął doświadczać miłości, ale też i obdarzać nią innych. Nie potrafił. Myślę, że przez to był nieszczęśliwy. Był dla mnie osobą ważną, która odcisnęła piętno również na moim życiu. Sztafeta pokoleń! Przy czym odciskany był zarówno awers, jak i rewers – część od Ojca brałem przez akceptację, część przez negację. Popelniałem błędy. Dokonując wyboru dzisiaj, bardzo bym uważał, żeby nie przeoczyć takich cech, jak: poczucie honoru, szacunek dla wiedzy, krytycyzm, a nade wszystko całkowity brak uczucia zawiści.

Konstanty Pilecki

Fot. archiwum autora



Przypisy:

- ¹ Więcej o Dorocie z Maleckich Pileckiej zob. Konstanty Pilecki, *Dorota Pilecka. W setną rocznicę śmierci (1875–1909)*, „Awazymyz” 2009, z. 2 (23), s. 17.
- ² Шимон Фиркович, *Прогулки по городу Тракаў* [Spacerzy po mieście Troki], br. r., niepublikowany maszynopis.
- ³ Tym dobrym kolegą był Eliasz Pilecki. Więcej o nim zob. Adam O. Pilecki, *Niestrudzony w podtrzymywaniu karaimskich tradycji*, „Awazymyz” 2017, z. 3 (56), s. 12–15.
- ⁴ W Wilnie mieściła się Ekspozytura Nr 1 Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego prowadząca wywiad ofensywny przeciw ZSRR, Litwie i Łotwie.
- ⁵ Więcej o Natalii Pileckiej zob. Konstanty Pilecki, *Zachowaj też w pamięci całą drogę...*, „Awazymyz” 2018, z. 1(58), s. 15–19.
- ⁶ W jednym z domów przy ulicy Polanki w Gdańsku Oliwie osiadły po wojnie rodziny Karaimów przybyłych z Halicza.
- ⁷ Bogusław Firkowicz (1917–1973).
- ⁸ Więcej na temat społeczności karaimskiej w Trójmieście zob. Konstanty Pilecki, *„Troćkie ogórki” na Kuźniczku*, „Awazymyz” 2008, z. 3(20), s. 3–8.
- ⁹ W przedwojennym Wilnie dużym powodzeniem cieszyły się kawiarnie prowadzone przez braci Sztrallów. Były to „Czerwony Sztrall”, „Biały Sztrall” i „Zielony Sztrall”.
- ¹⁰ Władysław Gomułka – polski komunista, I sekretarz KC PZPR w latach 1956–1970.

Miejsce wiecznego spoczynku Izydora znalazł na cmentarzu komunalnym w Sopocie, gdzie później u jego boku spoczęła także Natalia, wieloletnia towarzysząca podróży po wyboistych drogach życia.